

ROK V.

HRUBIESZÓW, MAJ - CZERWIEC *1910* № 1-2(12-13)

Pąkowie

Pismo Literackie Młodzieży Gimnazjalnej

Redaktor odpow.: A. SZCZERBOWSKI. Red. nacz. F. CIESIELCZUK.

Od Redakcji

Wychodzi z pod prasy drugi i ostatni w tym roku szkolnym numer „Pąkowia”. Do wydania pisemka przyczyniło się zaledwie kilku kolegów. W numerze tym zaszły pewne zmiany, mianowicie ustalono podział pisemka na działy, z których działa dla młodszych kolegów — „Ruń” jest wprowadzony po raz pierwszy. Pisemko nasze przybiera wraz z tym numerem charakter bardziej literacki; będzie ono poświęcone przeważnie twórczości kolegów, tłumaczeniom z poezji obcej, oraz artykułom z dziedziny literatury polskiej i obcej. Praca w „Pąkowiu” musi być planowa. Pojawiać się w niem będą również artykuły, tyczące się naszego gimnazjalnego życia. Z przyszłym rokiem szkolnym powinniśmy, o ile możliwości, podnieść poziom pisemka, rozwijać je po linii przez nas wytkniętej i stworzyć z niego zdrowy i ożywczy organ, któryby odświeżył naszą atmosferę szkolną. Powinniśmy, jak projektuje kol. Boczkowski, wydawać nasze pismo co miesiąc.

Z zapałem więc i ze śmiałem przekonaniem, że możemy zawsze dopiąć celu!

Śpiączka i bezwład

Nasze życie szkolne ogranicza się na ogół do przymusowego napychania głów nauką, do wkuwania jedynie, a pozatem — pustka, nic. Ludzie młodzi tacy, jak my, nie powinni podlegać prawu bezwładności, nie powinni czekać na zewnętrzną siłę popędową do pracy twórczej, organizacyjnej, ale powinni raczej

ten popęd w sobie posiadać, ze siebie rzucać projekty, plany na przyszłość. Nie dosyć być dobrym uczniem, mieć opinię pilnego, nie wystarcza zabierać głos w dyskusjach i klepać puste frazesy, nie, to nie wystarcza.

Trzeba bowiem naprawdę się ruszyć, pokonać w sobie ten ogrom, nie powiem lenistwa, ale bezwładu, bierności i braku szerszego zainteresowania się sprawami, któreby naprawdę wpływały ożywczo na nasze umysły!

Przecież nic nie robimy! Pogrążeni jesteśmy w szarzyźnie codzienności, poza pewnymi wiadomościami teoretycznymi nie posiadamy nic!

Powinniśmy się w końcu ocknąć!

— Przecież mamy kółka — powiecie — „kółko literackie”, „kółko francuskie”, nowoorganizujące się „kółko niemieckie”, przecież coś jednak robimy.

Czy robimy? Co? Referaty? Conférences? Czyż możemy nazwać szczeremi porywami do pracy wymuszone przez profesorów omówienia literackie, odczyty?

Nie, jest to raczej odruch dla odpędzenia uprzykrzonej i nieznośnej muchy — dwóki, którą możemy otrzymać w razie nienapisania czy to referatu do „Kółka Literackiego”, czy też odczytu do „Cercle Français”. To ma się nazywać, że posiadamy ideały, że nie śpimy moralnie, a pracujemy?

A przecież jesteśmy młodzi, możemy zrobić dużo!

A jakże się ma organ naszej twórczej pracy, nasze pisemko — „Pąkowie”? — Ano, — powiadamy — wyszedł jeden numer, nie dosyć?

My wolimy spać. Pisanie artykułów, opowiadań do naszego pisemka uważamy za coś zupełnie niepotrzebnego, za coś nadprogramowego.

Były redaktor musiał tłumaczyć, przekladać, że powinniśmy zrozumieć w końcu nasz obowiązek. I co z tego? Zaledwie jeden numer.

Sięgnijmy do początku istnienia „Pąkowia”. Zrazu wrzała praca, kotłowało zainteresowanie się pisemkiem, artykuły były liczne. Później stopniowo energia wyczerpywała się, malał entuzjazm. A teraz? Śpiączka i bezwład! Ukołysani monotonią szarych dni, zasypiamy powoli. Tak nadal być nie może!! Powinniśmy się ruszyć do pracy, do zerwania z nudą, dążyć do

ściślejszej duchowej spójni! Objawi się to przez organizacje.— I tak:

„Kółko literackie” powinno rozszerzyć swą działalność, wznowić istniejącą dawniej czytelnię w niedziele i święta, urządzając liczne posiedzenia, odczyty.

„Kółko francuskie” powinno okazać również więcej żywotności; biblioteka musi energicznie funkcjonować, czytanie czasopism francuskich powinno się odbywać w lepszym, niż dotąd porządku, posiedzenia powinny być częstsze.

„Kółko niemieckie” nie powinno się rozchwiewać, aleścięsię zorganizować, założyć bibliotekę niemiecką i rozwijać się nadal.

Również zapomniane i pogrążone we mgle przeszłość „Kółko historyczne” powinno odzyskać i funkcjonować.

Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba się i duchowo cokolwiek przynajmniej odmieńć, bo zewnętrzne objawy pracy nie są wystarczające. Duchowa nasza wartość może się objawić w organie naszym — „Pąkowiu”.

Mamy być naprawdę pąkowiem, z którego rozwinię się kwiat i owoc: **my — ludzie!**

Dlatego z przyszłym rokiem okażmy swoją siłę żywotną, do pracy, z życiem!

Vox.

Dotychczasowy dorobek „Pąkowia”

W styczniu, 1923 r. ukazał się pierwszy numer naszego pisemka, które początkowo miało „normować” pracę uczniów, członków Kółka Literackiego, aby z biegiem czasu stać się „polem popisu dla budzących się talentów”. Początkowe numery, obok artykułów wzywających młodzież do pracy, której charakter i istotę dobrze odczuł pierwszy redaktor „Pąkowia”, mimo skąpej zawartości pisemka, odznaczają się starannym doborem materiału.

W jednym z nich znajdujemy wiersz S. L. S. (Rozwiane sny) o charakterze sielankowo-erotycznym. „Skarga powstańca” M. Krawczyka (wiersz) odznacza się zrozumieniem naszej wady narodowej, której zapewne nie znali prawdziwi powstańcy. Tendencją młodego autora, a zarazem ideą jego krótkiej pracy jest

wezwanie do porzucenia zawiści stanowej, która jak robak toczy podwaliny zrębu państwowego.

Artykuł zaś A. Regla o futuryzmie („Brzask czy zmierzch“), mimo silenia się na ironię, nie daje żadnych konkretnych wiedomości o tym prądzie, nie wyjaśnia właściwego problemu futuryzmu, lecz zadawalniając się złośliwą krytyką, zręcznie usuwa ów problem w głąb, chyba swej własnej nieświadomości.

W artykule „Przyroda a człowiek“, J. Wierzbicka, już za redaktorstwa A. Wawrynowicza, analizuje stosunek człowieka do przyrody.

Dalsze lata rozwoju „Pąkowia“ wykazują najzupełniejszy brak zainteresowania się sprawami nowszej literatury. Ogólnie mówiąc, było to grzebanie w starzyźnie, „jubileuszowe artykuły“ o dawniejszej literaturze i sztuce.

Nowele B. Krawczyka, St. Gerleckiego, St. Kłembukowskiego są dość zajmujące. Ciekawe są przekłady niektórych rzeczy z lyriki niemieckiej, z Heinego i — mniej udane z Rilkego.

Artykuły zaś Wł. Stokowskiego i F. Ciesielczuka odznaczają się bystrą obserwacją, oraz zdolnością kojarzenia wrażeń zewnętrznych ze stanem duchowym. (Wiatr jesienny).

Wiersze b. redaktora A. Stormkego, obok łatwości wierszowania i poprawnej formy stroficznej, poruszają tematy związane z życiem młodzieży szkolnej.

Rzucając okiem na rozwój „Pąkowia“, ze smutkiem stwierdzić wypada, że **da się zauważać stopniowy upadek pisemka. „Pąkowie“ nie spełniło swych wznowiskich zadań**; nie stało się „polem popisu dla budzących się talentów“, czego należało się spodziewać po pierwszych numerach.

Owszem, zamiast rozwijać się dalej, siłą chyba swej bezwładności, stacza się po dźwigni pochylej, **przy bezplanowości pracy i braku wytkniętego kierunku**. Teraz należy nasze pisemko postawić na należytym poziomie, przy wspólnej zbiorowej pracy.

Rzucam projekt comiesięcznego wydawnictwa „Pąkowia“.

Feliks Boczkowski.

KONKURS

Redakcja „Pąkowia“ ogłosiła w ubiegłym miesiącu Konkurs nowelistyczny. Temat i rozmiar — dowolny. Dnia 15-go maja upłynął termin składania utworów. Nadesłano na konkurs osiem o powiadań. **Nagrodę otrzymała egzotyczna nowela**

STEFANA BRONISŁAWA SOMMERA

p. t. **Fatima**, odznaczająca się z wielką znajomością życia Wschodu nakreślonym tłem i zajmującą fabułą.

Z pozostałych utworów Redakcja częściowo skorzystała już w tym numerze; inne zachowano do następnych numerów "Pąkowia".

DZIAŁ LITERACKI

Kilka słów o najnowszej poezji polskiej

Poezja musi ciągle iść naprzód, rozwijać się wraz z życiem. Ze zmianami, jakie zachodzą w życiu i w psychice człowieka, idą w parze nowe sposoby wypowiadania się twórców.

Na kilka lat przed Wielką Wojną powstaje we Francji kierunek zwany ekspresjonizmem, polegający na wyrazistem ujmowaniu stanów duchowych, a we Włoszech głośny futuryzm, któremu początek dał *F. T. Marinetti*.

Futuryzm był zarówno pod względem treści, jak i formy rewolucją przeciwko poezji przeszłości. Siegnął on po nowe tematy z życia wielkomiejskiego, proklamował kult nowoczesności; piękna szukał w gwarze ulic, i w łoskotliwym zgrzytcie maszyn. Przedostał się on wkrótce i do Polski, która odzyskawszy niepodległość zaczęła nowy okres swej historii. Okoliczność ta była w pewnym stopniu sprzyjająca dla wpływów futuryzmu. Po szeregu legjonowych poetów, piszących na sposób dawny, pojawiają się nowi, którzy łączą się w grupy i wydają bojowe pisma. W Poznaniu zaczyna wychodzić „**Zdrój**“ pod redakcją *Jerzego Hulewicza*, autora kilku dramatów, w Warszawie zaś „**Skamander**“ (istniejący jeszcze dotąd). Z pod znaku „**Skamandra**“ wyszło wielu zdolnych poetów. Najpoważniej przedstawiają się: *Lechoń, Tuwim, Wierzyński i Słonimski*.

Jan Lechoń w „**Karmazynowym poemacie**“ walczy o nową treść, o przemówienie duszy polskiej, która zrzuciła jarzmo niewoli i wobec otwarcia się nowych horyzontów życia, przekreśla przeszłość raz na zawsze i zrywa z nią gwałtownie. W wierszu „**Herostrates**“ mówi poeta: „I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem, Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę“. Utwór p. t. „**Mochnacki**“, zamieszczony w tym samym zbiorze, należy do arcydzieł współczesnej poezji. *Lechoń*

za pomocą śmiały i giętkich słów umie oddać najsubtelniejsze tony muzyki.

Mochnicki, jak trup błady siadł przy klawikordzie
I zwolnatał próbować akord po akordzie,

Rozpędził białe palce świegołem w wiolinie,
I mały smutny strunień z pod reki miu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawjaturze,
I raz poraz w wiolinie kwitną polne róże.

Przy końcu następuje wspaniały efekt:

W on błydy jak ściana płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa czerwony.
Rz wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrzał taką straszną otwartą powieką,
Rz spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”.

Drugi tom poezji *Lechonia „Srebrne i czarne”* zawiera liryki, odznaczające się ściszoną patosem. Poeta zetknąwszy się bliżej z życiem i ujrzałszy jego nagą prawdę, cofa się przed nią z przerażeniem i w ciszy samotnych rozmyślań kreśli słowa tchniące posępkiem, uroczystem pięknem. Z późniejszych jego wierszy widać, że szuka ukojenia i wzywała się z pesymizmu. Poezje Lechonia odznaczają się świętą, klasyczną niemal formą.

Umiarkowanym futurystą jest *Julian Tuwim* w całej twórczości okazuje on gorączkową chęć rozproszenia się. Słowa jego są krzykiem wydartym przemocą z głębi, biegą w rytmie niejednostajnym, galopują nieraz zawrotnie.

W pierwszym zbiorku, zapowiadającym poetę na wielką skalę, dał Tuwim wyraz oczekiwaniu na objawienie boga nowej poezji. Oszałamia go sam pęd naprzód, upaja życie pełne wrażeń. Odkrywa poeta dużo piękna w życiu mitem — jest tedy urbanistą. Drugi tom poezji p. t. „*Sokrates tańczący*” zawiera podobne pierwiastki, chociaż w pewnych chwilach na krótko przychodzi refleksja, zamyslenie nad celem, do którego poeta dąży: „Co ja właściwie czynię, tak biegąc, tak się spieszając?” „*Siódma jesień*” zawiera przeważnie erotyki, od subtelnych, przepojonych miękkim liryzmem, do ostrych i śmiały w wyrazie. **Czwarty tom**, obok rzeczy idących po linii poprzednich zamierzeń posiada utwory, świadczące o cofaniu się z zajętej pozycji (np. wiersz „*Dzieciństwo*”). W cyklu „*Słopiewnie*” próbuje poeta wyeliminować treść przez łączenie półrozumiałych nowo-utworzonych słów, aby tembardziej uwydatnić muzykalność wiersza i samą jego formę. Np.:

A gdy sierpiec na niebłoczu żyście
W cieniem ciemnie jeno niedospiewy,
W białodrzewiu ćwirnie i srebiście
Słodzik słowi słowisieńkie ciewy.

Ostatni tom poezji Tuwima nosi tytuł „*Słowa we krwi*“ Do poezji polskiej wniosł Tuwim sporo nowych wartości, wzbo-gacił ją masą oryginalnych, świezych zwrotów poetyckich. Jeden z krytyków mówi, że „Tuwim jest niejako punktem ogniskowym, przez który przechodzą wszystkie fale, jakiemi drży twórczość dzisiejsza“.

Poetą opiewającym radość życia jest *Kazimierz Wierzyński*. Zarówno w pierwszej książce „*Wiosna i wino*“, jak i w drugiej „*Wróble na dachu*“ jest młodzieńcem, który na życie patrzy we-soło i śmieje się do świata.

Obnoszę po ludziach moj śmiech i bukiety
Rozdaję wokoło i jestem radosną
Wicherą zachwytu i szczęścia poety,
Co zamiast człowiekiem powinien być wiosna.

Trzeci tom wierszy Wierzyńskiego, to „*Wielka Niedźwiedzica*“, czwarty nosi tytuł „*Pamiętnik miłości*“ i zawiera erotyki; piąty zaś i ostatni dotąd p. t. „*Laur Olimpijski*“ ukazuje nam poetę, jako entuzjastę sportu.

Innym jest *Antoni Słonimski*. Rzczkolwick, jak i poprzedni jego koledzy po piórze, zachwyca się współczesnością, czyni niekiedy wrażenie zamaskowanego romantyka, któremu „jednakowo jest wszędzie i smutno i ciasno“. Najważniejszymi jego książkami są: „*Harmonja*“ (wieniec sonetów), „*Parada*“, „*Godzina poezji*“ i „*Droga na Wschód*“. Wydał prócz tego dwie powieści (*Teatr w wiezieaju* i *Torpeda czasu*).

Do grupy „Skamandra“ należy jeszcze kilku zdolnych poetów. Najciekawszym z nich wydaje się *Władysław Broniewski*, autor „*Wiatraków*“. Z potek zasługują na uwagę przedwyszystkiem *L. K. Hłabowiczówna* (*Trzy struny*, *Śmierć Feniksa*, *Płaczący ptak*), oraz *Marja Pawlikowska* (*Niebieskie migdały*, *Różowa magia*, *Wachlarz*), których poezje odsłaniają duszę kobiety. „Skamadryci“ podnoszą wartość i znaczenie słowa i kultywują formę, w dziedzinie której posiadają już wiele zdobyczy. Wzbogacili zasób rymów, rozpowszechnili t. zw. asonanse (n. p. trzeba—drzewa, tesknił—zwycięski, oczom—spoczął, ognia—co dnia i t. p.).

Z pośród skrajnych futurystów wyróżniają się: bardzo zdolny poeta *Bruno Jasieński* i *Anatol Stern*.

Odosobnione stanowisko zajmuje *Bolesław Leśmian*, który

zaczął tworzyć jeszcze w okresie „Młodej Polski” (**Sąd rozstajny**). W roku 1920 wydał on spory tom poezji p. t. „**Ląka**” i wysunął się na czoło współczesnej poezji polskiej. Mniej sławiony, niż „**Skamandryci**”, jest Leśmian, mimo to poetą mogącym stańć obok najwybitniejszych z pośród nich. Nie należy do żadnej grupy poetyckiej, ale wywarł wpływ na kilku młodszych pisarzy (*Zegadłowicz, Brzechwa*).

Luźno związany był z grupą, która starała się zasilić poezję pierwiastkami ludowemi; grupa ta wydawała przez pewien czas pismo p. t. „**Ponowa**”.

Poezje zawarte w „**Lące**” odznaczają się niesłychaną oryginalnością, przynoszą one z sobą nową, nieznaną dotąd w literaturze formę obcowania z przyrodą. Leśmian odkrył w przyrodzie nowe wartości poetyckie i przywrócił jej pierwotne, świeże dziewczęce piękno. Przydomny świat roślinny, jak mówi *Ortwin*, nasiąka u Leśmiana egzotyczną atmosferą jakichś puszczy brazylijskich. „Najprostsze, najpowszedniejsze naprzód epi-zody życia przyrody przeobrażają się w zjawy feerji. Człowiek zaś staje się nikłą częścią przyrody, jak drzewa i kwiaty”. Ballady Leśmiana są najlepsze po balladach Mickiewicza i stanowią najciekawszy i najcenniejszy dorobek poety.

Uczeń Leśmiana, *Emil Zegadłowicz* w „**Dziewannach**”, a zwłaszcza w „**Powsinogach beskidzkich**” dał również szereg ballad. Ponadto jest Zegadłowicz autorem kilku cenionych dramatów. (**Głaz graniczny** i in.), i należy do grupy „**Czartaka**”. Ostatnio wśród młodych poetów widać dwa zaczynające się ścierać kierunki: neopozytywizm, podnoszący wartość pracy (*Witold Wandurski, Mieczysław Braun, Julian Przyboś, Lucjan André*...), oraz neoromantyzm, który chce przywrócić znaczenie uczucia w poezji (*Jan Zahradník, Anna Słonecznińska* i wielu innych, którzy wyraźniej wypowiadzą się w przyszłości). Jest jeszcze szereg poetów, którzy usiłują pogodzić w sobie te dwa kieruki i zajmują stanowisko pośrednie.

fc.

Opracowano na podstawie kilku numerów „**Skamandra**”, „**Wiadomości Literackie**”, oraz recenzji *Ostap Ortwina* w „**Przeglądzie Warszawskim**”, artykułu o *Lechoniu i Wierzyńskim Z. Dębickiego* w „**Kurjerze Warszawskim**”, pierwszego numeru czasopisma „**Kwadryga**” i notatek własnych *Stanisława Ciesielczuka*.

POEZJE

* * *

Stefanowi Kłembukowskiemu

Wicher zaszumiał, zahuczał, zagwizdał
 I nagle prasnął w okna tysiącami kropel.
 Ciemność do szyb przywarta, od deszczu osłizgła
 Wygląda jak ogromna atramentu topiel.

Wicher rokrosznie parska, po ziemi się kładnie,
 Znów wzbija się, chichoce, łbem o chmury tłucze,
 Rozrzedza je, rozgarnia, wznoси się ponad nie
 I ginie. A deszcz drobny jeszcze ziemię płocze.

Już ustął. I już cisza. Odpływają chmury
 I odsłaniają niebo. Cicho szemrzą liście.
 Ziemia lśni po ulewie, a w płytkie bajury
 Książyc rzuca promieni niebieskawe kiście.

Franciszek Ciesielczuk.

J. W. GOETHE.

CISZA MORSKA.

Głęboka cisza panuje w wodzie,
 Bez ruchu drzemie wciąż morski lud,
 A żeglarz smutnym wzrokiem swym bodzie
 Wokoło gładką powierzchnię wód.

I z żadnej strony wietrzyk nie wieje,
 Śmiertelna cisza. — Jak straszno tu!
 W bezkresnej dali nic się nie dzieje,
 Bo fala ożyć nie ma już tchu.

Przełożył z niemieckiego *Antoni Stormke.*

ARTHUR RIMBAUD.

TRUP w DOLINIE.

Oto zielny zakątek, kiedy rzeka śpiewa
 Chłoszczą, z wściekłością trawy srebrnych fal żachani,
 Kiedy błyszczy promieni słonecznych ulewa;
 Oto mała dolina kipiąca blaskami.

Żołnierz, usta otwarte, gołą mając głowę,
 I kark kapiąc w rzeżuchy niebieskiej świeżości,
 Śpi. Leży w bujnej trawie pod obłokiem płowym,
 Blady na zielonym łożu, skąpanem w światłości.

Z nogami wśród mieczyków *) śpi tak uśmiechnięty,
Jak się w chorobie dziecko uśmiecha maleńkie.
Choć przyroda go ciepłem darzy, on zziębniety!

Nozdrzy jego powietrze nie podrażni wonne,
Śpi on w słońcu spokojnie, na piersi złożył rękę
I ma na prawym boku dwie rany czerwone.

PAUL VERLAINE.

JESIENNA PIOSENKA.

Szloch nieustanny
Skrzypiec rozłkanych Jesiennie

Rani mi oto
Serce tesknotą

Blady i cały
Taki omdlały
W dal patrze,
Dzwoni godzina —
Przeszłość wspominam
I płaczę.

Odchodzę kiedyś,
Przez wiatru pędy
Wciąż gnany,
Wiatr mną powiewa,
Jak liściem z drzewa
Zerwanym.

Przełożył z francuskiego Franciszek Ciesielczuk.

STEFAN BRONISŁAW SOMMER

Z cyklu „Wschód“.

Fatima

(Nowela nagrodzona na konkursie „Pąkowia”).

Na olbrzymim dziedzińcu, przylegającym do pałacu, krzątała się służba koło przygotowań do podróży. Jedni juczyli wielbłady, inni zaopatrywali sanie we wszystko, co w dalekich podróżach okazać się mogło potrzebnem. Wielbłady od czasu do czasu pomrukowiły, lub charczały, zresztą była cisza.

*) Rośliny.

Miało się ku wieczorowi, gdy na dziedzińcu ukazał się Muhamedwali Husainow, muezzin orenburskiego meczetu, obejrzał sanie i wielbłądy i dał znak, by zajechano przed pałac. Służba dosiadła wielbłodów, rozległy się głucho uderzenia knutów, niiano już wyjechać; wstrzymano się jednak, gdyż pan wciąż jeszcze stał zamysłony na stopniach schodów kamiennych, wiodących do haremu. Na twarzy jego malowało się wahanie. — Allah! Allah! Allah! — wyszeptał muezzin, a wiatr igrał jego siwą, rzadką brodą i rumieniącą policzki. Podszedł do niego przewodnik wyprawy i pozdrowiwszy go rzekł:

— Panie, który wiesz, co jest i co będzie, który karzesz wielkie przewinienia, a małe zapominasz, który codzień w cztery strony świata chwalisz Allaha, odwołaj swe polecenie. Wiesz, panie, że sługa byłem ci powołnym, więc nie z nieposłuchu, lecz z miłości dla twoego syna ośmiałam się to mówić. Wielbłądy już po trzeciej modlitwie charczały, pluły, a nawet gryzły się nawzajem. Wszystko to przepowada, że będzie buran^{*)}. Niech ciebie nie zwodzi piękny zachód słońca i mróz siarczasty. Dwadzieścia trzy lata znam te zwierzęta, wierzę więc im, że przeczuwają burzę. Dlatego nie wysyłaj teraz w drogę, panie świętobliwy, syna swego — Nurgaleja.

— Allah, Tobie syna powierzam, nie ujdzie on swego przeznaczenia. I zwrócił się do przewodnika karawany Hajbibulina:

— Za trzy gwiazdy^{**)} przed pałacem! Ruszaj!..

Po tych słowach stary muezzin wolnym krokiem ruszył do pałacu, brnąc w śniegu po łydkie. Nowa rozmówka z synem, duzo go kosztowała. Chociaż kochał Nurgaleja nad życie, nie mógł z nim dłużej pozostawać pod jednym dachem. Bał się, żeby klątwy na swój dom nie ściągnąć; wysyła go więc pod pozorem załatwienia interesów do wuja Jarmuhamedta w Taszkiencie, by ten wyleczył go ze wszystkich chorób, które nawiedziły jego ciało i opętały duszę podczas pobytu w Moskwie na wyższych studiach. Pomimo, iż nie nosił się tak jak ojciec i nie zachowywał pewnych obyczajów, był Nurgalej bardzo religijny i wierzący. Jego maksymą przez wszystkie lata szkolne było: uczyć się, by móc lepiej chwalić Allaha. I teraz z szacunkiem odnosił się do religii i do wszystkiego, co z nią było związane. Jedną

^{*)} Buran — zamieć śnieżna.

^{**) W ten sposób liczą mahometanie czas po zachodzie słońca.}

miał tylko wadę: nie wierzył w przesądy i zabobony, czem bardzo zraził sobie ojca. I oto musiał opuścić jego dom.

* * *

Już mieli za sobą Orenburg i byli nad brzegiem Uralu, gdy na horyzoncie ukazała się nieznaczna chmurka. Wielbłądy, pomimo częstych uderzeń kнутów, szły wolno, wciąż marudząc.

Nurgalej skinął na Hajbibulina i kazał podwoić szybkość. Przewodnik wykonał polecenie, ale po chwili wielbłądy znów zaczęły zwalniać. Dopiero gdy znalazły się w szczerym stepie, pokrytym jednostajną powłoką śniegu, ruszyły z wielką szybkością, właściwą im tylko wtedy, gdy nie widzą miasta. Konie zapragnięte do sanek ledwie mogły dorównać tym królom stepu. Rozwiązano wedle zwyczaju dzwonki. Odtąd stepową ciszę wypełniały małe dźwięki dzwonków i jańczarów zawieszonych u sztyi zarówno wielbładom, jak i koniom. A furman nucił piosenkę:

Rj du li fej
Czun ga sa...

(音韻)

Spojrzawszy jednak na zachód, urwał śpiew i na twarzy jego odmalowało się przerażenie. Ciężkie, ogromne chmury ciągnęły, zajmując coraz to większe obszary nieba. Wiatr począł dąć silnej, wielbłądy schyliły głowy. Pęczono, co koń wyskoczy. Do pierwszej poczty aulu było jeszcze daleko, a pierwsza wieś Karacze była o trzydzieści wiorst odległa. Chciano chociażby do nicj dotrzeć jeszcze przed *buranem*.

Lecz los chciał inaczej. Zaledwie ujechano parę wiorst, zerwała się taka wichura, że uniosła w góre kryte sanie, i wielbłądy nie chciły. Przerażenie opanowało Nurgaleja. Wiatr buściował, pod jego naporem trzeszczały sanki.

Gdy ciemność zapadła kompletnie, tak, że przez okno sanki nic, prócz oczku śniegu, nie było można zobaczyć, ogarnął go lęk, jakiego dotychczas nie zaznał w życiu. Trudno. Trzeba było przeczechać huragan. A fale śniegu pędzły naprzód jak rozkołysane mорze i układaly sięoko karawanę, tworząc olbrzymie *sugroby*^{*)}). Zdawało się czasem, że tylko patrzeć, jak huragan ucichnie, aż tu ze spotęgowaną siłą wali nowa fala śniegu. Śnieg właził już nawet wielbładom na garby.

^{*)} L-ej śnieżne powstające podczas zamieci.

Na szczęście kaprys ten trwał niedługo. Niebo poczęło się wyjaśniać, gwiazdy iskryły się — zdawało się, że są czystsze. Wiatr ucichł. I znów powróciła cisza, owa cisza właściwa tylko szerokim stepom.

Nurgalej wyszedł z sanek, by się rozejrzeć. Wtem usłyszał dźwięk dzwonków, który z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Polecił Hajbibutlinowi, ażeby wybrał co najlepsze wielbłady i wraz z nim ruszył w tę stronę, skąd dochodził głos dzwonków. Przez pewien czas jechali, aż zatrzymali się przed jednym *sugrobem*, w którym stały kryte sanki, a obok nich zgarbiona Sarcianka „barmotała” coś pod nosem. Z przodu sań kręciła się służba, która na widok Nurgaleja i jego słowa: — Salamulejkum — padła na śnieg i odpowiedziała:

— Salamat ma issams*). Byli zdumieni, gdy dowiedzieli się po chwili, że on jest tym Nurgalcjem Husainowym, o którym tak wiele słyszeli, jako o najmajestatyczszym elegancie wśród elity muzułmańskiej w całym Turgaju i orenburskiej guberni.

— Młody Husainow — dalo się słyszećokoła sanek. Gdy Nurgalej pragnął zapytać służbę, co się stało, wyszła z nich wysmukła postać, która na pożdrowienie wyciągnęła delikatną, pachnącą dłoń ku Nurgalejowi. Z gracją i dystynkcją ujął tę dłoń i złożył na niej zwyczajem europejskim długi pocałunek. Dawno nie miał takiej dłoni w swej ręce. Paliła gó gorączka ciekawości, kim jest ta piękna dziewczyna. Po krótkiej rozmowie, która się między nimi zawiązała, dowiedział o wypadku, jaki ją spotkał. Oto dyszle u sań były połamane. Sprytny młodzian o rycerskiej duszy przodków natychmiast temu zaradził. Zaproponował jej własne sanie, które wziął był z sobą, i swoje towarzystwo.

Fatima Jarmuhamedówna jechała z Taszkientu do Orenburga, gdzie miała przebywać przez czas dłuższy u muezzina Husainowa.

Nurgalej o tem nic nie wiedział.

Ponieważ Fatima zgodziła się na jego towarzystwo, jechał w stronę Orenburga, zamiast dążyć do Taszkientu. Bawił Fatimę długimi opowiadaniami o Moskwie, ona słuchała i żadnym się słowkiem przed nim nie zdradziła, że zna to miasto bardzo dobrze. Częstował ją łakociami, owocami suszonemi, ałaczą, ur-

*) Przyjęte u mahometan słowa pożdrowienia.

jukiem, sabzą, kłsmiszem, a nawet świeżemi granatami. Czuł się w jej towarzystwie niezwykle szczęśliwym. Chciał, by się ta droga ciągnęła w wieczność. Posmutniał, gdy ujrzał wieżyczki mineratu i kopuły meczetu. Wielbłady, zobaczywszy miasto zda-leka, zwolniły kroku. Chwila rozstania przybliżała się. Stara nianka napominała Fatimę, iż nie przystoi młodej dziewczynie jechać przez miasto w towarzystwie młodzieńca. Wówczas Nurgalej opuścił sanie, w których jechał z Fatimą i dosiadł wiel-błada. Na Priuralnym Placu Fatima z nianką wysiadły, a Nurgalej pożegnał się i ruszył z powrotem w podróż do Taszkientu.

* * *

W Taszkiencie zajął się Nurgalej wypełnieniem polecień ojca, a gdy załatwił wszystkie interesy, poświęcił się zwiedzaniu miasta i okolic. To go jednak nie zadowalało. Szukał jakieś pracy dla rozerwania się, ale jej nie znalazł. Częste deszcze zupełnie uniemożliwiły mu wycieczki krajoznawcze. Siedział w domu wuja i nudził się.

Pewnego dnia przyszła od ojca poczta. Stary muezzin zapytywał Jarmuhameta o postępy w leczeniu chorób Nurgaleja i zaznaczał, że gdy ślady dawnych chorob znikną, syn jego może wracać do domu. Od tej chwili Nurgalej zachował wszelkie pozory uleczenia, udawał, że już uwierzył w tak uznawane przez ojca przesądy i zabobony, a gdy druga poczta nadeszła, w odpowiedzi na nią sam przyjechał. Spodziewał się, że w Orenburgu zobaczy się z Fatimą, choć nie wiedział, gdzie ją mógłby znaleźć.

Ojciec ucieszył się powrotem syna. Oznajmił, że za tydzień ożeni go z przeznaczoną mu oddawną dziewczyną. Sądził, że podobna wiadomość rozpromieni oblicze syna. Tymczasem na Nurgaleju słowa te wywarły wręcz przeciwnie wrażenie. Twarz jego pokrył głęboki smutek. Niepokój i lęk o przyszłość wy-traciły go z równowagi. A przytem krótki termin ślubu przy-prawił go do reszty o stan desperacji. Innej żony, prócz Fa-timy, mieć nie chciał. Ją jedną pokochał całym męskiem ser-cem, jej jedynie pragnął służyć. W ciężkich chwilach duchowej rozterki dosiadał wielbłada i jechał w step. Wreszcie sformu-lo-wał swe postanowienie. W dzień ślubu przywdział szaty nar-o-dowe i schował przy sobie noż ofiarny i topór. Jeszcze godzinę przed zaczęciem się ceremonji, rozkoszował się mroźnem po-

wietrzem, które go orzeźwiło i zachodem słońca; miało się ku wieczorowi.

Ze szczytu minaretu stary muezzin zaczął w cztery strony świata głosić imię Allah, a gdy zwrócił się na wschód, oddając ostatni poklon Mahometowi, młody syn muezzina padł na ziemię. Przeczekawszy modlitwę, wzniósł na klęczkach ręce i oczy ku niebu, a otarłszy potem trzykrotnie twarz, rzekł: Allah! Salamat-ma! Allah! Sala-mat-ma! Tobie Allah, składam za wszystko dzięki i niech się przeznaczenie Twoje ziści.

* * *

Zeszedł bladawy sierp księżyca. Nurgalej z zakwefjoną swą oblubienicą przekroczył próg izby. Gdy zostali sami, wydobył z za iczigi*) topór i podniósł go do góry. Stał tak z bużą rozpaczy w sercu przez chwilę, która mu się wydawała wiekiem i liczył:

— Bir, ike, ysz **)...

Kobieta podniosła woal. Nurgalej zbladł i opuścił topór. Stała przed nim Fatima.

Spadający liść

Pusty pokój. Obok okna, na łóżku, leży chory. Zwraca niepewne oczy na jasność spływającą ze słońca; światło zalewa mu duszę, widzi wprost w gorączkowem napięciu dyszące serce, słyszy bulgot krewi do niego spływającej, czuje, jak cieniutkie, czerwone pasemka wpijają się w jego mózg, wirują, a każdy ich ruch olbrzymieje, rośnie i rozlewa się w ogromnej przestrzeni jasności.

Nagle jakieś przerażenie ogarnia chorego. Czuje, że nogi jego nikną, rozpływając się w oślepiającej światłości, która przybiera kolor czerwony, przetkany białymi pasmami migotliwych włókien. Niknie, jest mu tak lekko, tak powiewnie, rusza rękami i dziwi się, że one tak szybko wzlatują do góry, a zatrzymane swą długością przedko opadają na kołdrę. Podnosi palec i przytrzymując go drugą ręką, dotyka nim głowy, obmacuje ją i uśmiecha się lekko, bo poznaje, że ta ma kształt zmieniony, że wi-

*) Safjanowe buty o miękkich cholewach.

**) Raz, dwa, trzy...

ruje szybko i co chwila zawadza nosem o guzik poduszki. Wtem zagrały światła: fioletowe — niebieskie — błękitne — zielone — żółte — pomarańczowe — różowe i najbardziej męczące — czerwone.

Podniósł się nagle na rękach, usiadł i spojrzał przytomnie naokoło siebie. Jeszcze snuły się mu kolory, widzenia, jeszcze się wzdrygał. Jęknał. Rzucił wzrokiem za okno, ogarnął nim zielono - złotawy kolor liści i taki zlekka różowy odblask słońca. I nic więcej.

Ujrzał na chwilę przepaścistą pustkę ziejącą zewsząd, poczuł dreszcz, który się niewiadomo skąd udzielał jego ciała i ogarniał je całe — na krótko.

Cichy, smutny uśmiech wychylił się z duszy, przekrzywił boleśnie ustę, otworzył szerzej oczy i nadał wyraz męki całej twarzy chorego. Chciał poznać źródło tego smutku, tej nieznanej dotąd rozpaczki. I skupiwszy z wysiłkiem wolę, przeżywał znowu całe życie od lat najdawniejszych. Beztroukie dzieciństwo, wiek młodzieńczy, szkoła, zapachy żywicznych lasów, błękitne oczy, zapach włosów, wszystkie uczucia, pragnienia, radości, zawody, praca spokojna i w końcu — choroba.

Nic to. Chyba nie jest tak ciężko chory, jak mu się do niedawna zdawało. Najlepszy dowód, że może myśleć logicznie. Teraz nawet możeby mógł chodzić.

Niespodziewanie jakiś ciężar spadł mu na piersi; z westchnieniem szepnął:

— To nic, chyba jeszcze wyzdrowieje..

Wtem lęk, strach, przerażenie wybałuszyły mu oczy. Coś gwałtownie zatargało nim, zatręskło, przeraźliwie gwizdnęło mu w mózgu.

Znowu spokój i cisza potężna, wirująca ogromem.

...Zabłysły ognistemi smugami błyskawiczne zyzkaki, oslepili go swym blaskiem, zobaczył jeszcze na chwilę drobne cząsteczki, drgające coraz wolniej, wolniej...

Ciemność.

Szarpiący ciało, nerwy, mózg, wpijający się w każdy atom ból targał, rwał na strzępy znękaną duszę, tworzył z całego ciała masę bezwładnie drżącej, kostniejącą stopniowo bryłę. Chory targał się, rzucał, walił głową o poręcz łóżka, szarpał konwulsyjnie kołdrę rękami, dał w szmaty poszewkę poduszki, wił się i tarzał.

Przypomniał sobie z chwili minionych wieków, że miał coś ogromnie ważnego zróbić, że to ulżyłoby mu wiele.

A męczarnie potężniały ciągle — rosły, rosły, rosły...

Wykrzywiona obłąkanem twarz kurczyła się, prezyła, oczy zachodziły bielmem straszliwej męki. Zerwał się i z rykiem duszy, przeczącej rzeczywistości, runął na podłogę.

Za oknem rozplynało się bialo-rożowe światło słońca, szumiała cicho zieleń. U szczytu drzewa zatrzeszczały liście i spały, lekko kołysząc się w powietrzu. Spadły. Drzewo szumiało nadal.

Franciszek Ciesielczuk,

S ł a w a

Sztubacy, podobnie jak i zwykli śmiertelnicy, dążą do sławy. Każdy uczeń jest w jakiejś dziedzinie specjalistą, a „słuchy” o nim krążą pomiędzy kolegami, czasem nawet przebijają mury szkolne i szybko przenoszą się z ust do ust, z domu do domu. Sławnym zaś można być z bardzo rozmaitych przyczyn.

Najczęstszem polem zawodów jest, nie nauka, jakby się wydawało, lecz tradycyjne „robienie kawałów”. Sztubak, który chce zasłużyć na sławę w tym kierunku, choćby tylko na terenie jednej klasy, musi pokonać wielu współzawodników.

Często za niektóre „kawały” wpada się do „kozy”, ale to nikogo nie zraża. Nic więc dziwnego, że zwycięzca jest nieprzystępny, z byle kim się nie „zadaje”, imię zaś jego jest na ustach wszystkich, nawet — profesorów.

Można także zostać sławnym dzięki swoim stopniom. Zawody tego rodzaju rozpadają się na szereg podzawodów: z każdego przedmiotu, ze wszystkich razem, w każdej klasie i w całym gimnazjum. Pozatem i zawodnicy dzielą się na dwie grupy: jedni starają się celować jak najlepszymi postępami i tych jest niewielu, drudzy postępują wprost przeciwnie i jest ich znacznie więcej. Konkurs bardzo trudny, bo sędziami nie są uczniowie.

Lepiej poświęcić drogi czas na ostrzenie języka. Polega to na tem, że zawodnicy przy każdej sposobności starają się powiedzieć coś bardzo dowcipnego. O jakości świadczy wielkość dozy śmiechu kolegów. Biegłość w tej dziedzinie w znacznej mierze przyczynia się do wziętości u wszystkich.

Niepospolite miejsce zajmuje siła pięści. O pierwszeństwo rywalizują nie tylko poszczególni uczniowie, lecz także jednostki zbiorowe, to znaczy klasy. Zawody te są o tyle niebezpieczne, że czasami zwycięzca ma podbite oczy, zakrwawiony nos, lub kilkanaście sińców.

Korzystniej już jest brać udział w pięcioboju podczas „Święta sportowego”, bo zamiast „obrażeń cielesnych” można otrzymać cenną nagrodę i ujrzeć swoje nazwisko w gazecie. To znaczy bardzo dużo.

Także wielką przyjemnością jest ujrzeć swój artykuł w „Pąkowiu”, a pod nim własne nazwisko. Współzawodniczy więc z sobą wielu i bynajmniej nie postępuje w ten sposób, jak to czynią „prawdziwi literaci”, którzy uwagę Redakcji na śmierć się obrażają. Żądza sławy pcha ich do tego, że nie zważając na zasady oszczędności, psują ustawicznie papier i pióra.

Pozatem jest nieskończony szereg innych mistrzostw, z których na pierwsze miejsce wybija się sztuka podpowiadania, unieśmiertelniona przez K. Makuszyńskiego. Wybitna specjalność w tym kierunku wywołuje czasem zawiść u kolegów, a ze strony profesorów sinutne konsekwencje.

„Sen o sławie” nie ustępuje z głów sztubackich, mimo „kozy”, mimo „delikatnego” łechtania skóry przez ojców, mimo sińców i zakrwawionego nosa, nie zważy się na drożynę papieru i piór, ani na wiele innych przyczyn, bo dla „sławy” trzeba cierpieć.

Ertem.

RUNÍ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH KOLEGÓW

Wprowadzając nowy dział w naszym pisemku, przeznaczony dla kolegów z niższych klas, prosimy, aby zdolniejsi z nich nadysywali na przyszłość opowiadanka, lub wierszyki — jeżeli będą zgrabnie napisane, bardzo chętnie wydrukujemy.

Także i starsi koledzy mogą składać materiał do „Runi”; nie będzie to dla nich bynajmniej ujmą, owszem, zaśługą nawet, gdyż przyczynią się w ten sposób do ożywienia koleżeńskiego współżycia w naszym gimnazjum.

Redakcja.

Z u c h y.

My, to chwaty jesteśmy, oho, jeszcze jacy!
 Nikt tak krzyczeć nie umie, jak my podczas pauzy;
 Wy, chodzicie powoli, boście już ósmacy,
 My fikamy koz ołki dwadzieścia pięć razy!

Jesteśmy wielkie zuchy, historji się uczym,
 Uczymy się co Kolumb zrobił, co Kopernik;
 Jak dwójkę kto dostanie, to nigdy nie buczy,
 Tylko piąstki zaciska, a potem .. je piernik.

Za pięć, sześć, lub lat siedem n e będąmy mali!
 Już się będziemy wstydzić po ulicy biegać;
 Do matury dojdziemy, zdamy doskonale!
 Bośmy dzisiaj już zuchy! Każdy chwat — kolega!

Kilku u nas zimuje; te wielkie dryblasy
 Skaczą, krzyczą najwiecej, albo młodszych biją.
 Takich my nie lubimy, wypychamy z klasy
 „Oni siedzą rok drugi!” — wszyscy z śmiechu wyją.

Bo też to wstyd jest wielki zimować dwa lata,
 W jednej klasie wciąż siedzieć i nudzić się, ziewać;
 My tacy nie jesteśmy, wiemy: — Czas ułata!
 Uczęc się, chcemy innych do pracy zagrzewać.

Gdy nadują wakacje, książki odłożymy,
 Będziem chodzić do lasu, na wycieczki, wszędzie.
 Na polu, lub na łące ogień rozniecimy
 I wokoło zatańczymy. To uciecha będzie!

Stark.

T u ł a c z

Wracał do ojczyzny — on, jej obrońca i bohater, a teraz tułacz, żebrak i wyrzutek narodu, za który nadstawał piersi i w szesnastu bitwach z nieprzyjacielem krew swą przelewał. Marzył wówczas, że kiedyś w starości, otoczony szacunkiem, będzie opowiadał synom i wnukom o swych zwycięstwach. A dzisiaj wraca do ojczyzny zbołyły, znękany i obdarty i nie wie, czy się jej przyda na co. Wygasły w nim doszczętnie dawne marzenia o przyszłości; wypełdziły je w czasie czteroletniej niewoli nahaje, których mu nieprzyjaciel nie szczędził. Zraza

duma jego burzyła się na to, lecz z czasem i ona wygasła. I w końcu z bohatera został nędzarz na ciele i na duszy, pozbawiony marzeń i nadziei. Lecz nie zdołały knuty wypędzić z serca Polaka miłości do ojczyzny. Steskniwszy się za nią, czując, że wnet już dokonał nędznego żywota, uciekł z więzienia.

Chciał spocząć w ojczystej ziemi, przepojonej krwią jego dziadów. Ojciec jego został zabity w walce z nieprzyjacielem, matka i żona umarły w nędzy — a mały synek, ten pewnie gdzieś zginął z głodu i zimna.

Szedł tedy wędrowiec na los szczęścia, pragnął tylko umrzeć na ojczystej ziemi, szedł, już tak trzy tygodnie.

Gdy wstępował czasem do domów prosząc o jakąś pracę, pracy odmawiano, a jałmużny nie chciał przyjąć. Zachodził do wiejskich chat i tu go przyjmowano chętnie, współczuło mu; od tych ludzi nie wstydził się przyjąć jałmużny. Rz wreszcie znalazł się na olbrzymiej równinie, na której prócz lasu wcale nic nie było widać. Był głodny, zmęczony, zziębnięty. Chciał spocząć. Przed oczyma migły mu czerwone i zielone plamy. Jak przez mgłę ujrzał jakieś drzewo na górze. Tam postanowił odetchnąć.

Dowłókł się z trudem, położył torbę na śniegu i usiadł. Zamknął oczy. Zrobiło mu się ciepło, blogo; powietrze wypełniało się jakąś muzyką, niby brzęczeniem pszczół roboczych w koronach rozkwitłych drzew na wiosnę.

Woń narcyzów, róż i bzów...

Podniósł powieki i mimowoli spojrzał w górę. O dziwo! Z obłoków spływał anioł uśmiechnięty, zbliżył się do ła braka, stanął przy nim i zaczął mówić cicho, spokojnie:

— Chodź, bohaterze znękany. Za swe życie ofiarne otrzymasz teraz nagrodę od Boga. — Ujął go lekko za rękę i podniósł z ziemi. Tułacz uczuł, że unosi się do góry bez najmniejszego trudu. Zobaczył na sobie białą szatę, woniącą, różami; spojrzał na dół: pod drzewem leżało ciało zamarznięte okryte w łachmany. Zapłakał. Anioł, widząc to, rzekł głosem podobnym do cichego, melodyjnego śpiewu:

— Nie żałuj tych strzepów, tego ciała okrytego bliźnami. Niech zostanie na ziemi i zamieni się w proch. Duszę twoą przyjmie Bóg, jako męczeńską ofiarę, złożoną dla ojczyzny. Tam, płakałeś — tu będziesz się radować, tam byłeś w nędzy — tu

będziesz żył w rajskiej rozkoszy; tam pogardzano tobą — tutaj będziesz uczestnikiem szczęśliwości niebieskiej. Chodź, boś święty.

I patrzyła dusza bohatera do góry w ekstazie, w niebiańskim zadziwieniu. Muzyka anielska kołysała, upajała — zapach narcyzów, róż i bzów... Jasność olśniewała oczy i płynął tak rokrosznie — do Boga.

A tam, na śniegu pod drzewem leżał zmarznięty, cielesny Łachman — jeszcze jedna ofiara na ołtarzu ojczyzny.

Jan P.

N a p a d

Na tle mroku zarysowywał się kontur wieży kościelnej, wynurzającej się z powodzi siedzib ludzkich. We wnętrzu kościoła drży nikła smuga wiecznego światła, przebijająca się przez oponę ciemności.

Mieszkańcy tej dzielnicy, w której się wznosił kościół, byli to w znacznej liczbie Polacy. Dzięki religii tak zżyli się z miejscowymi katolikami, że utworzyli z nimi jakby jeden nierozerwalny twór. Ale było tutaj sporo Rusinów i Żydów, w łonie których nurtował już i rozrastał się komunizm. Minjaturowy świat Polaków nie chciał podać ręki zdzieczałej hordzie bolszewickiej i gardził nią, jak gardzi szlachetne zwierzę padliną. Ze te swoje zapatrywania ściągnęli na siebie Polacy gniew i nienawiść; nad dzielnicą ich wznosiły się przekleństwa i niejeden gorliwy bolszewik wyciągnął pięści w kierunku kościoła.

Już od dłuższego czasu kursowały wersje, że bolszewicy mają zrabować kościół, ale nikt z Polaków nie chciał w to uwierzyć, gdyż trudno było się pogodzić z tą myślą, aby ludzie mogli podnieść ręce na świątynię Bożą. Lecz skarbiec kościelny okropnie nęcił bolszewików, mocno przypiekał ich chciwość. A jeżeli wtargną do kościoła i powydłubują owe błyszczące kamienie z koron świętych, jeżeli ściągną owe złote monstrancje i kielichy i zerwą skarbonki przy wejściu do kruchty i nawy?

I oto tej nocy postanowili bolszewicy swe plany urzeczy-

wistnić. O zamiarach tych dowiedział się Franek, sierota i przybył z temi wieściami do księdza. Ten, choć nie ufał w zupełności słowom Franka, poszedł do świątyni, dotknął ręką wszystkich ryglików i zamków, a przekonawszy się, że wszystko było w należytym porządku, spieszył już do domu, gdy nagle powiew wiatru przygnął do jego uszu odgłos tętentu koni. Franek z pewną dumą rzekł: — Już jadą, psubraty!

Stanęli wnet przed bramą kościelną, zsiedli z koni i nie tracąc czasu rozpoczęli szturm: Wszyscy ilu ich tam było, wsparli się o bramę i chcieli ją siłą wywalić. Ksiądz tymczasem pośpieszył zbudzić służbę, by móc stawić opór nieproszonym gościom. Gdy wracał, usłyszał trzask jeden, drugi i trzeci: bramę wyważono! Z ochrypłych gardzieli napastników wydarzył się okrzyk triumfu, a z piersi księdza i służby okrzyk rozpaczny i zgrozy. Ściągnęło to uwagę bolszewików, którzy rzucili się aby ich wymordować.

Wtem zabrzmiał potężny głos dzwonu i wstrzymał na chwilę zapędy bolszewików. Ochlonąwszy ze zdumienia, zwróciili się teraz w stronę dzwonnic i dali salwę.

Franek w chwili szturmu do bramy, prześliznął się do dzwonnic i stanął przed jej drzwiami. Były zamknięte. Zaczął wspinać się po rynnie do okienka i znalazł się wkrótce we wnętrzu dzwonnic. Spotkał go nowy zawód, gdyż nie mógł w żaden sposób natrafić na linę od serca dzwonu. W rozpaczny padł na kolana, oczy wzniósł ku niebu i z ust jego wypłynęła błagalna modlitwa. Niespodziewanie przez oponę chmur przebił się miesiąc i rzucił snop zimnych promieni; jeden z nich wpadł do wnętrza dzwonnic i niemal wskazał Frankowi koniec liny. Franek pochwycił ją skwapiwie i zaczął szarpać. Serce dzwonu rozkołysoło się i rozległ się w powietrzu głos skargi, żalu i bólu: dzwon płakał. Długo pracował Franek przy linie bez wytchnienia w stanie podniosłej ekstazy. Nagle uczuł wielkie zmęczenie i lina mu się sama wysłiznęła z rąk; zaczął spadać niby w jakąś bezdenną otchłań, a gdy znalazł się na jej dnie i odważył się otworzyć powieki, spostrzegł, że rozstępują się podwoje niebios; wyszła z nich jego matka w towarzystwie aniołów i melodyjnym głosem zaczęła wołać go ku sobie. Aniołowie zniżyli się ku niemu, porwali go w swoje ręce i ponieśli w przestworza. Franek czuł się nad wyraz szczęśliwym, wyciągnął rączkę i usta rozchylił z podziwu i radości, a gdy znalazł się przy matce, ta

zaczęła go wieść w jakiś świat nieznany, w świat niewysławionej szczęliwości.

W tym czasie Polacy rozbili bandę bolszewików, która opuściła dziedziniec kościelny.

Gdy otworzono wejście do dzwonnicy, spostrzeżono anieliską twarz Franka i strugi krwi, sączące się z jego szyi i piersi. Nie żył. Zwłoki jego przeniesiono do kościoła, gdzie ksiądz zaintonował modlitwy za umarłych.

Światło wiecznej lampy paliło się przed ołtarzem równo i spokojnie*).

G. Malcew.

K R O N I K A

Kołko literackie.

Od czasu wydania ostatniego numeru „Pąkowia” w „Kółku Literackim” odbyło się dwanaście posiedzeń z referatami: dnia 14 XII. 1926 r. referat kol. Leopolda Stepkowskiego p. t. „Adam Asnyk jako liryk”.

Dnia 5 I. 1927 r. — referat kol. Tadeusza Chróściewicza p. t. „Dwa światy w „Quo Vadis”.

Dnia 28 I. r. b. — referat kol. Podkowika Franciszka p. t. „Treny” Kochanowskiego i „Ojciec zadżumionych” Słowackiego.

Dnia 12 II. b. r. — referat kol. Zygfryda Łutnickiego p. t. „Wokulski B. Prusa i Płoszowski H. Sienkiewicza”.

Dnia 2 III. b. r. — referat kol. Hajkiewicza Jana p. t. „Po-wiązanie elementu historycznego i romansowego w „Trylogii” H. Sienkiewicza”.

Dnia 12 III. — referat kol. Sławatyńskiego Adama p. t. „Charakterystyka społeczeństwa polskiego na przełomie XIX go i XX go wieku” na podstawie „Wesela” Wyspiańskiego.

Dnia 18 III. b. r. — referat kol. Kality Władysława p. t. „Charakterystyka społeczeństwa polskiego po roku 1863” na podstawie „Lalki” B. Prusa i „Nad Niemnem” E. Orzeszkowej.

Dnia 24/III. b. r. — referat kol. Śmieszki Tadeusza p. t. „Powstanie listopadowe” w „Nocy listopadowej” i „Warszawiance” St. Wyspiańskiego.

*) Taki napad miał miejsce w Mohylowie nad Dnieprem w 1919 r.

Dnia 2 IV. b. r. — referat kol. Siemickiego Zygmunta p. t. „Kassandra, Roza Weneda i Marja jako wróżki narodu“.

Dnia 28 IV. b. r. — referat kol. Janickiego Witolda p. t. „Charakterystyka chłopów w „Chłopach“ Reymonta“.

Dnia 7 V. b. r. — referat kol. Stormkego Antoniego p. t. „Ideały młodości w „Snach o potędze“ L. Staffa“.

Dnia 4 VI. b. r. — referat kol. Zderkiewiaza Michała p. t. „Świat pozazmysłowy w twórczości Juliusza Słowackiego“.

Po referatach wywiązywała się dość ożywiona dyskusja.

Kółko liczy obecnie 86 członków, z których 40 do 50 bierze czynny udział. Z biblioteki Kółka, która coraz bardziej się zwiększa przez zakup nowych książek, korzystają prawie wszyscy członkowie. Biblioteka jest czynna w niedzielę od godziny 10—12 rano. W Redakcji „Pąkowia“ zaszła pewna zmiana, mianowicie ustąpił dotychczasowy redaktor kol. A. Stormke, a funkcje jego objął kol. Ciesielczuk.

tk.

Kółko francuskie.

Oprócz posiedzenia organizacyjnego, odbyła się w „Kółku francuskim“ dość pokaźna ilość odczytów, które wygłosili: kol. Witold Janicki, kol. Jan Koszałka, kol. Stefan Kłembukowski, kol. Franciszek Ciesielczuk, kol. Zderkiewicz Michał i kol. Józef Błaszkowski.

Na wyróżnienie zasługują odczyty: kol. Kłembukowskiego o „Hernanim“ V. Hugo, kol. Zderkiewicza o życiu rycerskiem w średniowieczu i kol. Błaszkowskiego o wspólnych cechach „Aniellego“ Słowackiego i „Atali“ Chateaubriand'a.

Dyskusja po odczytach — dość skąpa.

sec.

Kółko samopomocy koleżeńskiej.

Praca w tem „Kółku“, o którego zawiązaniu było wspomniane w poprzednim numerze, narazie idzie dość powoli. Do powiększenia zasobów pieniężnych „Pomocy koleżeńskiej“, które są tak potrzebne dla speszenia z pomocą niezamożnym kolegom, przyczyniła się zabawa urządiona po ferjach Bożego Narodzenia. Pieniądze rozpożycza Koło kolegom na dość długi termin. Jest nadzieję, że w przyszłym roku szkolnym, kiedy się wróci z wakacji z nowymi siłami, no, i kiedy się wybierze nowy zarząd, praca pojedzie szybszym tempem. Ogólna kwota zapomog bezwrotnych wynosi 141 zł.

bs.

I. Hrub. Drużyna Harcerska.

W czasie wakacji 1926 r. urządziła Drużyna przy pomocy d-ha opiekuna i „Koła Przyjac. Harc.” z prezesem R. Zdziarskim na czele, zabawę ogrodową, połączoną z fantową loterią. Dochód czysty — około 1000 złp. Pozatem Rada Druż. wysłała jednego d-ha na kurs dla drużynowych i pięciu — dla zastępowych. Zebrana na początku roku szkol. Rada Druż. obrała komendantem d-ha prof. St. Trojanowskiego, oraz dwu przybocznych: D-ha Cz. Pawłowskiego i T. Kardacza. Drużyna liczy teraz 67 d-hów i jest podzielona na 5 zastępów. W czasie wakacji ofiarowali p.p. Podhoreccy kilkumorgową ławkę pod Sławęcinem Harcerstwu Hrub., jako dar na park gier i zabaw.

Opiekę nad szkarpami przy gimnazjum objęła również Drużyna i rozpoczęła prace przy robotach ziemnych. Zastępy prowadzą drobne przedsiębiorstwa, np. „Orły” — herbaciarnię, „Jelenie” fryzjernię i sklepik.

W wigilię św. Stanisława Kostki wzięła Drużyna udział w pochodzie z lampionami własnej roboty. Rocznicę powstania listopadowego obchodzono wspólnie z uczniami gimnazjum. Rok 1926 zakończył się „opłatkim harc.” 1927 r. zaczął nowy okres historji I H. D. H. Wszyscy d-howie rokują piękne wyniki swej pracy. Bibliotekę powiększono do 200 tomów, czytelnię zaopatrzoną w szereg pism; przy końcu stycznia powstaje w drużynie orkiestra obozowa „Jazzband”. W tymże czasie urządzono loterię fantową, która dała około 40 złp. zysku. Za zezwoleniem Komendy Chorągwii Lubelskiej powstała „podkomisja prób”, która ma prawa przeprowadzać próby na stopnie i sprawności. Z funduszy, które zostały wyliczone powyżej zakupiono 50 lasek harc., wielki wieszak do świetlicy, a następnie na wniosek d-ha, komendanta postanowiono nabyć aparat radio-odbiorczy. W końcu lutego zjawił się u nas instruktor z Lublina. Zwołana przez niego alarmowa zbiórka całej drużyny, zgromadziła w ciągu 20-tu minut 57 d-hów, 10 nieobecnych było zupełnie usprawiedliwionych. 1-go marca urządziła druż. wieczornicę i zabawę taneczną. „Jazzband” spełnił należycie, choć z pewną tremą, swą rolę.

Dnia 15 III. otrzymaliśmy od „Koła Przyj.” 6-o lampowy radio-odbiornik. 18/III. cała drużyna wysłuchała komunikat z naczelnictwa Z. H. P. w Warszawie. Tegoż dnia sekcja harce-

rzy bierze udział w capstrzyku, rozpoczynającym uroczystość obchodu imienia Marszałka Piłsudskiego. Nazajutrz odbyło się nabożeństwo i defilada organizacji społ. w czem bierze czynny udział cała drużyna. 11 IV. z okazji imienia p. dyrektora gimn., zebrała się drużyna o godz. 7ej rano i złożyła w osobie d-ha kom. życzenia Solenizantowi. Dnia 3-go maja drużyna brała udział w uroczystym pochodzie.

*Czuj duch!
„Pułacz”.*

Egzamin dojrzałości

złożyli w tym roku szkolnym następujący koledzy: Apel Salomon, Białobrzeski Janusz, Busiuk Andrzej, Chróściewicz Tadeusz, Czarkowski Jan, Hajkiewicz Jan, Janicki Witold, Kalita Władysław, Kłembukowski Stefan, Kuźmiński Antoni, Koszałka Jan, Lutnicki Zygfryd, Rabinowicz Joel, Stormke Antoni i Śnieżko Tadeusz.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

S. K. Ze względu na treść i ponieważ „Pąkowie” jest tylko pisemkiem gimnazjalnym — umieścić nie możemy, mimo dużych wartości literackich.

G. Mal., Jan P. Drukujemy opowiadania w postaci trochę skróconej. Może na przyszłość postarają się koledzy o większą treściowość i staranniejszy, niewymagający poprawy styl.

Gas. Może w przyszłości wydrukujemy. . .

Jan Krz. Słabe. Nie wydrukujemy. Trzeba unikać gadalstwa. Więcej akcji.

J. W. „Ciężkie chwile” trochę za lekko napisane. Chyba umieścimy.

Frast. Niestety, z bólem serca — odmawiamy.

A. S. Za tłumaczenie dziękujemy.

Ha-ha. Szkoda, że nie możemy umieścić. Byłby smaczny kąsek. Podobno posiada więcej złośliwości, niż humoru — ta bajeczka kolegi.

S. B. S. Z „Przejażdżki na wielbłądach” nieomieszkamy skorzystać.

T. K. „Wrażenia szkolne” zbyt naiwnie ujęte.

Święto sportowe młodzieży szkolnej.

We wtorek, 14 VI. b. r. odbył się na koszarach popis gimnastyczny młodzieży szkolnej w Hrubieszowie. Nastąpiły kolejno: ćwiczenia wolne wszystkich prawie szkół hrubieszowskich (kilkaset osób), piramidki I. H. D. H. na drabinkach, równocześnie z piramidkami wolnymi dłuż. harc. szkoły powsz. męskiej, piramidki harcerek szkoły powsz. żeńskiej, rej kolarski I. H. D. H. Popis zakończyły zawody lekkoatletyczne: bieg 100 metrów, skok w dal, sztafetowy bieg 400 m. Nagrody zdobyły w biegu 100 m. dla dziewcząt — I Paskówna, II Chrzanowska, III Szczekanówna (ucz. szk. powsz. żeńsk.); w biegu 100 m. — I nagrodę zdobył kol. Pawłowski C. (Gimn.), II — Migas (szk. rzem. m.), III — Gardyński (szk. rzem. m.); w skoku w dal: I — Gardyński, II — kol. Janicki M. (Gimn.); skok wzwyż został odłożony na dzień następny; bieg sztafetowy przyniósł zwycięstwo kl. V. Łącznie z kl. IV., drugie miejsce osiągnęła kl. VII.

Publiczność była nieliczna, gdyż nie interesuje się pracą młodzieży na polu wychowania fizycznego. Popis udał się, co należy przypisać przedewszystkiem p. prof. E. K. Lechowi, kierownikowi popisu.

Włodysław Stokowski.

HUMOR

Potrzebny.

- Czemuż to przychodzisz tak późno do szkoły, Edziu?
 - Byłem potrzebny ojcu w domu, panie profesorze.
 - Nie mógł się kimś innym wyręczyć?
 - Nie! Wybił mnie.

Aktualne

Policjant spostrzega w nocy człowieka, wspinającego się na balkon.

- Złaż pan, albo strzele! — Dajże pan pokój! Ja chcę tylko ustawić na dachu antenę.

- Ile właściwie razy padłeś przy egzaminie?
— Licząc z jutrzejszym — dwanaście.

- Dobrze, żeś przyniósł braciszku z polowania dwa zajęce. Będziemy mieli tani obiad.

~~1130~~
~~4,8~~
~~1840~~

~~48~~
~~43~~
~~780~~
~~4,8~~
~~4,3~~
~~786~~
~~2~~
~~261,60~~

Przedruki, lub przeróbki materiału literackiego,
zawartego w „PAKOWIU”, bez porozumienia się
z redaktorem naczelnym — wzbronione.

~~48 2~~
~~43 3~~
~~184~~
~~192~~
~~206~~

~~48~~
~~4,3~~
~~443~~

~~1130~~
~~1130~~
~~1130~~
~~1130~~